

PŁOMIENNE

DALE



JOZEFA PLUSKOWSKIEGO

POEZJI TOM DRUGI

WARSZAWA 1938

PŁOMIENNE DALE
JÓZEFA PLUSKOWSKIEGO

P O E Z Y J

T. O M D R U G I



Druk. „ITALIA”, Warszawa.

PŁOMIENNE
DALE



JÓZEFA PLUSKOWSKIEGO

POEZYJ TOM DRUGI

W A R S Z A W A 1938

Wszelkie prawa autorskie zastrzeżone.

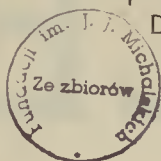
Winiętę rysował Adolf Serafinowicz.

Z ogólnej ilości odbitych egzemplarzy 5 egzemplarzy odbito na papierze kredowym.

Drukarnia „Italia”.

Warszawa,

luty 1938.



**INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN**

Biblioteka

ul. Nowy Świat Nr 72

00-000 Warszawa

Tel. 26-68-63, 26-52-31 w. 42

Tegoż autora:

Na rubieżach snieñ. Poezje. Wyd. M. Fruchtmana

**WYDAWNICTWO M. FRUCHTMANA
W WARSZAWIE**

ZAZDROSNE ŁUBINY

Kwitły wtedy w ogródku jaśminy,
Krwawemi kwiaty groch się kłaniał.
Łubiny
Pożółkły z zazdrości i łkania.

Dziś zeschły śnieżne kwiaty jaśminu,
A łubin z żalu i szlochu szczeł.
Groch zginął.
Bo wszystko ma swój i zgon i kres.

KORALE UST.

I tak dziwnie serce drga, tak dziwnie łopocze,
Nabrzmiąte, jak dojrzałe rumiane brzoskwinie,
Chętne do spożycia w cichy ranek po nocy,
Gdy rosa srebrzysta, jak opale już minie.

Oczy za mgłą, gdy koral koralu dotyka,
I sączy zatruty na bieg czasu słodki jad,
Kropla po kropli z serca w me serce przenika
I jakiś różnobarwny, jakiś inny jest świat.

I tak mi w te rozetkane chwile przedziwnie,
Wspominam minione marzycielskie biesiady,
W utęsknionym sercu czar łuby płynie śpiewny,
Gdy na cudny świat patrzy księżyc srebrno-błady.

WIEKUISTE ŁOWY.

Po przez cienie i blaski idę na łowy,
By złowić choć jedno pasmo włosów płowych
Lub echo minionego w przestrzeni echa.

Nie zapomniało nigdy moje serce ciebie,
I łowię twoje widmo na błękitnym niebie,
A myśl moja serdeczna łą się uśmiecha.

Wiem dobrze, że po przez lawinę czasu przybędziesz
Lotem swym podniebnym, jak wędrowne łabędzie,
Cała w opłotach swej srebrno-płowej siwizny.

I choć ciebie tak samo zorze ozłocą,
Ja na inne już łowy polecę nocą
Wiekuistą, do tej w zaświatach ojczyzny.

MALOWANE CIENIE.

Na Starem Mieście budzę późną nocą bruki,
Gdzie kamienice kamienicom ciągle szepcą
I wychylając się w zygzakowate łuki,
Cieniami okien malowane ściany pieszczą.

Po starych schodach w samotnej idę zadumie,
Mierząc mem sercem drogę ku starym wierzejom.
— Czego on tak często i sam tu błądzi kumie?
— Patrzy czy wiatry z świata kogoś nie przywieją.

Lecz nie przywieje tu nigdy nawet cienia wiatr,
A z szeptu kamieni tak trudno coś zrozumieć,
(Z boku na bok cień nocy się wyrzucił i spadł)

Ogień mego wulkanu balsamem stłumię,
Na serca przyzbie zasadzę zapomnienia kwiat,
Który umieszczę w sercu, jak światełka w tumie.

CHRYZANTEM.

Chryzantemę białą w sercu noszę
I rozplomieniam pożogę cieniów,
Płaty bieli pryzmatem się mienią
Gdy wyznanie, jak kwiat polny koszę.

I nie wiem gdzie granice mego kochania,
Które mgłą śmiechu osłaniam
Na serc bezdrożu.

Słowa me giną wśród codzienności jarów,
A wyznania wśród oparów
I mgieł się korzą.

I lepiej, że prawdę baśń zakrywa,
Pieśń po innych bezdrożach się błąka,
Każe myśleć, że świat prawdy — mrzonka,
Że baśń nie pierzcha, bo wiecznie żywa.

Aż sam wreszcie uwierzę, że wolę róże,
Niż kwiat chryzantemy śnieżny,
Kwiat snów wspaniały,

I sny swoje rozwałę, sny swoje pięścią zburzę,
Jak zwid w pieszczocie drapieżny,
Zwid oszalały.

G R O M.

Gdy dusza duszy szeptce, serce ku sercu się chyli,
A grom uderzy, rozwali marzenie w złudnej chwili
I zostawi wspomnienie zwidu, zostawi serca ból.

I choć na gruzach nadziei życie się zbudzi
Nie rozpali się już żagiew radości w sercach ludzi,
Którzy tęsknoty sieją księżycową nocą wśród pól.

S C H A D Z K A.

Na schadzkę niewyśnioną idę z tobą co dzień,
Co dzień niepokój mój migoce i szeleści,
Smutek nieskończenie twarzyczkę zbliśka pieści,
A sercu jest dzień w dzień słodziej i słodziej.

I choć mi nurt myśli prawdy już nie zamąca
Stoję z poszumem tęsknot nad źrenic przepaścią,
Przystrojoną bielą intencji, myśli jaśnią,
A zakłamanie płomień powszedniości trąca.

I choć ci bliski umówionych, złudnych godzin,
Jestem tylko przechodzień upojnych marzeń,
Podświadomie upity krużą złotych wrażeń,
Od chwili ciżby nagłych niepokojów narodzin.

Bez tej schadzki wichrów lzy i lamenty,
Rozpanoszonych na kwietnych rozłogach,
Ciernie porzrucane na samotnych drogach,
Kwiat jaśminu w rozkwicie burzą ścięty.

CIERNIOWE LISTY.

Piszę do ciebie w dalekie twe strony
I serce przerzucam lotem błyskawic,
Bo nawet duchem nie mogę się zjawić,
Taki jestem cierniami umajony.

Chciałbym napisać co w mem sercu noszę,
I wszystko, co boli, słać z listem w drogę.
Drę kartę po karcie i łzami roszę.
Wiesz! Wysłać ci moich listów nie mogę.

O Z M I E R Z C H U.

Wieczór cichy zmierzch na śnieg już kładzie,
A poświata rzuci srebrem w okno.
Kwiaty na szybach pod tchem mym mokną
Więc widzę jabłonie w lśniącym sadzie.

I na moje serce kładzie się cień,
Płomienny cień minionej już chwili,
I choć mój ból przyciszony kwili
Zmierzchem rozdzwonił się ginący dzień.

Samotność oplotła tęskna duszę
I choć westchnieniami moc jej kruszę
Wypełnia sad przy wiejskich drogach.

Aż świerszcz swą pieśnią tę ciżbę przerwie
I rozjaśni moich wspomnień czerwień
„Pochwalony“, rzucony od proga.

PRZERWANA PIEŚŃ.

Przerwały się akordy, zerwały się struny,
Cisza na palcach po bezleśnych wichrach człapie,
Smutek kołysze się wśród bieli fal, na rafie,
A nocturn z lazurowego stropu w dół runął.

Lotne piaski zanuciły już pożegnanie
Miłości, skąpanej w nurcie podobłocznym,
A marzeniom, spragnionym pieszczot przenajśłodszych
Rzuciły w drogę długą przyśpiewu wezwanie.

Przerwaną pieśń na kwiatkach samotnie prząść będę,
Z smutku, z serc spiekot i z tęcz nową pieśń uprzedę.

Woal zapomnienia zarzucę,
Zagram na kwiatkach olśnionych marzeń hejnały,
Bo melancholii trwożne szepty już przewiały.
Pieśń rozplomienioną zanucę.

ROZELKANY KLOMB.

Przydrożny mój ogródek na barwie już stracił,
A kasztany rzuciły swój płaszcz szmaragdowy.
Czerwienią załkał klomb. Cóż i łzy słońce znaczą,
Gdy rozwiął się sen, sen jasny o głowie plowej.

Przed kamieniem dumam i me serce nań kładę,
Aby oziębilo się, bo dziś żarem, jak wulkan płonie.
Przed wspomnieniem cienia mej miłości się bronię,
Który w dzień i w nocy idzie, jak widmo blade.

Idę wśród bzów, światłami dwu gwiazd urzeczony,
A ogród oszalał: jaśmin i malwy płaczą,
Że już jej nigdy wśród łubinów nie zobaczą.

Nagle cisza. Idzie. Widmo ma wzrok zamglony.
Przy krawędzi kamienia staje jakby wryta;
Kwiaty słyszą: „kochał“ w kamieniu ryte czyta.

2.

Wicher głośno wyje, rdzawy z drzewa upadł liść,
Przy drodze skrwawione siekierą wierzby płaczą;
W srebrzystej mgłę roztokami mus samotnie iść,
Aby kiedyś promień jasnych włosów zobaczyć.

Wicher smętnie wyje i do ziemi skłonił kwiat,
Droga usłana jesiennym liści dywanem;

Jakiś dziwnie smutny wydaje się marzeń świat,
Gdy widzę mój ogród rdzawym liściem usłany

Jesienny dzień i moje oszronił już włosy,
A na drodze samotnej posiał krwawe liście.
Na polanie zakwitły płaczące wrzosa,
Wicher smętnie coś szepcze i nokturny świszcz.

P R Z E Z E C H O .

Lecę do ciebie na skrzydłach pośród gwiazd,
Jak ptaki z wyraju do swych lubych gniazd,
A w świetle czy zmroku żarzy się twój czar.

Czy wznoszę się, czy zniżam swoje loty,
Widzę w dali zamglonej włosy złote,
Krew moja burzy się, przenika ją żar.

Po przez płonące chmury i srebrne mgły,
Przez bańnię promiennie wdieram się dziś sny,
Ku twoim myślom rozchełstanym płynę.

Załawily ci się z tęsknicy oczy,
A łzę twą anieli w niebiosach zoczą,
Zanim w chmurnej dali, jak zygzak zginie.

Zwabione rozszlochany głoŝem echa
Rzuciły pieśń-wyzwanie pod strzechy,
Krzyżując echo ech w śpiewnym eterze.

Przez zwały chmur myślą lub myśli marą,
Na życie przedługie sycę się wiarą.
Że w drodze nie zawsze będzie bezbrzeże.

A w tych zamglonych, niezmiernych dalach
Napotykam piolunne smętku fale,
Nie znane w smaku dziewiczych ust wczora.

Czuję: ktoś patrzy przez dali ośchłanie,
Ktoś wlecze się za mną, chociaż się ślania,
Mierząc bieg przez chmury krokiem upiora.

SZKARŁATNIEJĄCY SMĘTEK.

1.

Chociaż snuję się wśród ludzkiego roju,
Chociaż cały dzień trudem się i znoję,
Trwa ból.

Płonące serce bije samotnością,
Smak łez na spragnionych ustach mych gości,
Jak sól.

Na serce, na usta, na wspomnień żale,
Rzuciłaś swoje dwie gwiazdy, korale,
Swój czar.

Oplotły srebrem ręce palające,
Dwa księżyce, dwa znicze płonące,
Serc żar.

Rzuciłaś na mnie twe czary, uroki,
Bym myślą biegł do cię przez świat szeroki,
Przez dał.

Odczynić ich nie potrafię w tęsknocie,
Bo jesienią trwa w szkarłacie i złocie
Mój żal.

2.

Może ci dziś jest płomienniej w snach,
Piołunne nie leje się światło,

Dziergane śmiechy ból twój zatra
Gdy dnia nie przesiewa zezem strach.

Może stypy cień błękitnieje
I prześnieżone dale się chmurzą,
A każdy dzban staje się krużą
Gdy w lustrach z mgieł słońce się śmieje.

Ale smutek twój szkarłatn eje,
Śmiech zanurza się w wspomnień studni
I echem ech po sercu dudni,
Pisząc w czasie rozwianych snów dzieje

N O K T U R N.

Gdy gwiazda poleci do gwiazdy na niebie —
Pomyśl: ma myśl, jak gwiazda leci do ciebie.

Gdy droga mleczna wije się śnieżną smugą —
Wiedz: ja widzę tutaj taką samą drugą.

Gdy wicher za oknami jęczy i wyje —
Wierz: wspomnieniem o szczęściu zbłąkanem żyję.

Gdy zobaczysz w południe promienne słońce —
Ufaj: przyjazne jest me serce gorejące.

Gdy rozśnieżą się jaśminy wczesną wiosną —
Słuchaj: w wichrach usłyszysz mą pieśń miłosną.

Gdy szare mgły otulą miasto wzdłuż i wszerek —
Nie płacz, o nie płacz: po przez łzy słyszać mój śmiech.

Gdy przyjdą do ciebie łzawych myśli roje —
Śmieję się: śmiech choć na chwilę bóle ukoję.

Gdy ujrzyś szronem pokryte swoje włosy —
Nie smuć się: tak cudne są jesiennie wrzosy.

Gdy słuchasz nocą radia na krańcach świata —
Uważaj: myśl eterem do cię ulata.

Gdy w poświęcie zapukam ręką w twe okno —
Bądź pewna: to mój duch w mgle i deszczu moknie.

Lecz gdy jesień przyśle ci pierwsze podmuchy —
Już wiesz: szczęście jest złudne i jak szkło kruche.

SERENADA O CHOREM SERCU.

Powiedz mi czego me serce bez łez płacze
I czego śpiewa mi posępne nokturny,
Jakby sypano miłej prochy do urny
Lub okręt życia słało w dale tułacze.

Powiedz, czego mi tutaj tak źle,
Jakby jesień błędziła cały rok,
Marsza żałobnego znacząc krok,
Na cmentarzyska starego tle.

Powiedz mi, czego baśni snuje,
I w baśni tyle czasu już trwam
Choć rzeczywistość tak dobrze znam,
Gdy samotność myślą swą pruje.

2

Nie powiesz mi tego jeszcze dzisiaj,
A jutro będzie takie jak wczoraj.
Już i na okręt gwiazdny mi pora,
Aby zawiózł mnie w zapomnienia kraj.

3

Lecz gdy z południowym wiatrem wrócisz
Będę czekał na mej izby progu,
Ośnieżonej gwiazdną bielą głogu,
A ty pieśń o beczasie zanucisz.

Na me serce zarzucisz wiotkie dłonie
I zawołasz mnie pieśnią po imieniu,
A ja drzemiąc w najpłomienniejszym z cieniów
Snami wśród smętnych maków się rozdzwonię.

4.

Za naszą przyzbą bezdeń pusta,
Tęsknoty cień i drapieżnego kochania,
Które jak gwiazda po niebiosach się ślania,
A mgłą zakrywa świat, jak chusta.

Za naszą przyzbą pełni straż tęsknota,
Na żytnich łąkach marzenie smętne przedzie,
Zadumanym duszom śle w wichrach orędzie,
Serce niepokojem płomiennym mota.

5.

Mam przy sobie sakwę starą,
Grzebię miłość, choć nie wolno,
Idę dróżką dzisiaj pełną,
By się spotkać z szczęścia marą.

W starej sakwie myślą grzebię,
Z starej sakwy nic się przedzie,
Co już było i co będzie
Gdy nie stanie mi już ciebie.

Znasz tę sakwę, serce chore,
Z którą chodzę w duszy ciszę,
Twego serca bicie słyszę
W letnim słońcu, w letnią porę.

6.

Powiedz na co serce z utęsknieniem czeka,
Gdy czas nie zije już zdradliwym zniszczeniem,

Gdy trucizna bólów leje się strumieniem,
Gdy coraz większe brzozy żłobi trosk rzeka.

7.

Bo ty jesteś miłości purpurową wstęgą,
Falą bezbrzeżną, klnę się słoneczną przysięgą,
Której nie widać z naszych oddalonych brzegów.

Lecz może kiedyś zachłanna przestrzeń rozstania
Zapełni się szumami naszego kochania
I dobiegniemy pieśni serc w naszym przebiegu.

8.

A co dziś?
Sny,
Łzy,
Zwiedły liść,

Głodne wargi szukają warg w oddali,
Piją myślą purpurowe ust kwiaty,
Bogu składają w snach szczęścia obiady,
Bo serce jak step suchy się pali.



MIŁOSNA WICHURA.

Powiało mi dzisiaj miłosną wichurą,
Zaśpiewało mi przedziwną pieśnią ponurą.

A chociaż świat okrył skwar cudnego lata,
Mnie jesień swym rozszlochany m gwarem oplata.

Na ziemi wichrzą, kłębią się jak węże liście,
Jarzębiny wdziały na szmaragd lzy ogniste.

Tu deszcz ulewny z niebios plusnął fontanną,
A tam gdzieś jak nocturn płynie „veni“, „hosanna“.

W moją przesmutną twarz wiatr wieje, deszcz bije,
Ja płynę po szynach, ja mimo bólu żyję.

Widocznie w ziemię wrosnę, jak wierzba przy rzece.
Mam jej fotografię. Różami ją ukwiecę.

BŁĘKITNA POWSZEDNIOŚĆ.

Lubię dźwięk smętnych roztkliwionych tang
I pieśń co w drzewach nocą płacze,
Słowa bólem nabrzmiałe, tułacze,
Które idą po sercu jak tank.

Lubię różowych mgieł kurtyne,
Płomiennych cieni żagiew złudną,
Świątynię mar minionych ludną
I łódź marzeń, którą w baśń płynę.

Szepty kwiatów swem sercem słyszę,
Czytam, co na szybach pisze śnieg,
Gdy na mroźnej karcie rankiem legł
W zmierzchu szczęścia serc ciszę.

Podpatruję mem sercem życie
I fragmenty kładę na kartę,
Nuąc świtom: eviva l'arte,
Gdy powszedniość legła w błękicie.

A że we mnie pieśń się płomieni,
Z poszumem życia mam moc spotkań,
To wśród najpłomienniejszych z cieni
Ślyszę głos serc stęsknionych: zostań.

Pozostań z pracą i niepokojem,
Z pieśnią, tęsknotą, snów pracy rojem,
Aby wieczorną pieśń śpiewał nań wiatr,
Który wieje pod żaglem dawnych lat.

Pozostań, gdy bije czerwony blask,
Gdy księżyc wdziewa swój srebrzysty kask,
Gdy w suterenie roi się od snów,
Pieśń wolna rozplómienia ludzi znów.

Więc jestem: z pracy, marzeń, snów pieśnią,
I śpiewam co serce nuci w ciszy,
Co dziś w pracy ludzi rytmem słyży,
Aż w kręgu rąjeń sny się nie prześnią.

SKOŚNE SERCE.

A chociaż masz skośne serce i oczy
Widzisz tak jasno w tej cudnej przezroczy,
Z miłym uśmiechem, choć po bólu i łzach.

I chociaż twarzyczka tonie w półrozbrzasku
Jesteś, jak bizantyjska na obrazku
Święta, co wznosi się cała w białych mgłach.

Chociaż usta nuca smętne nokturno,
A twe oczy patrzą spojrzeniem chmurnem,
Tkwia w nich jakoweś przebłyski, świtanie.

Płyną od ciebie wiośniane zachwyty,
Słońce przegląda się w oczach błękitem,
Gdy z ust płynie smętku jesienne granie.

I chociaż się zdaje, że marzeń twych kres,
Że nic nie zostało prócz smutku i łez,
Masz złudy tak przebarwną i długą nić.

Jesteś piękną, słodką i jeszcze młodą,
Z tą twą przedziwną, subtelną urodą,
Więc jedno hasło rzucaj naościęż: żyć.

Choć płynię nad tobą „babie lato“
Ty strój się w należne wiosniane szaty
I patrz swym uśmiechem nawet w chmurną dal.

Niechaj jasnej przyszłości los ci się przedzie,
I pieśń, której nie ma, lecz jeszcze będzie,
Boć młodości i szczęścia każdemu żal.

Przetrzyj załzawione oczy z tęsknicy:
Bólów i smutków nikt przecież nie liczy
I trudno je bezustannie łąz mierzyć.

Gdy twe smutki kto inny pokocha
I nie zawstydzi się nawet zaszlochać
Idź z nim, lecz naucz go mimo burz wierzyć.

Bo chociaż skośne troszeczkę masz oczy
Wszystko dojrzysz sercem w życia przezroczy,
Strojąc się na nowy byt, nowe życie.

Westchnienia nic się starga, opadnie liść,
W rękę zostanie jaśminu duża kiść,
Gdy razem pójdziecie drogą o świcie.

P O Ł Ó W M E W.

Aby me poezje nie były szczerze w formie
Należy pisać: ad finitum, kwintesencja,
Mówić, że moje serce piękna lżis porwie,
Do wyrazu minister dodawać: €kscelencja.

Strzelać, jak w płot: jambicznie i katalektycznie,
Kolony puszczać, jak chwytne ogary,
Wszystko malować różowo, ekscentrycznie,
Lampę zwać słońcem, wolskie doły jarem.

Gwiazdom pleść, że na niebie tańczą,
Drzewom, że liśćmi biją ptactwo na zew,
Łabędziom, że dzieci dozorczy nocą niańczą,

Rybakom, że połów winni rozpocząć od mew,
Kamienicom, że lecę i są szarańczą.
A ja? Ja wdzieram się mą pieśnią na życia brzeg.

LAWINA GWIAZD.

Lecą lawiną gwiazd na ziemię białe płaty,
A na szybie dziwnie rozkwitły pragnień kwiaty:
Mróz i śnieg.

Przy oknie szwaczka sny swoje szyje i płacze,
Łzami rzęsystemi na bieli marzeń znaczy
Każdy ścieg.

Śnieg bólów ziemi nie zdoła nigdy zaproszyć,
Mróz tęsknot nie oziębi, ani też zagłuszy
Swą bielą.

Nie zagmatwa nikt rzeczywistości swą baśnią,
Nie rozświetlą mroków śniegi, choć się swą jaśnią
Uścielą.

POCHÓD PŁOMIENI.

Czerwienią i bielą, czerwienią, czerwienią,
W słońcu płonącym wulkanem się wciąż mienią.

Idą z okrzykiem bijącym w piętra
Biją ziemię nogami, aż dudni,
Echo idzie z ulic, jak z cembrowanej studni,
A krew czerwona mocniej i mocniej tętni.

Łoskot muzyki idzie i echem wraca.
Słysząc już grzmot.
Niech żyje swoboda i niechaj żyje praca.
Afisz na płot.

Patrz: młodzi już idą i dzieci w szeregu,
Werbel bije, werbel uderza radośnie,
Bo święto weselem śpiewa nam o wiosnie,
Która napłynęła z wysnionego brzegu.

Śpiewają swoje purpurowe pieśni
Murarze, ślusarze, rolni i leśni,

Z boku ktoś krzyknął i z boku ktoś padł
Krew jast czerwona, czerwony jest kwiat.

Polska jest nasza i nasze jest święto,
Drzemią farbiarnie i drzemią dziś huty,

Robotnicy, którzy ideą skuci,
Niosą na czerwieni swoje memento.

Pręży się ramię wśród deszczu i słońca,
W rękę jest siła, bo pięść jest jak młot.

Serce żelazne i stalowa jest pieśń,
Bojowe hufce i czerwona jest wieść.

Ojczyzna jest jedna i jeden świat,
Chrystus zwyciężył kiedyś Judasza,
Radosna o hutach jest pieśń nasza.
Na głównych ulicach zakwita mak.

Czerwona jest pieśń i serce czerwone.
Ręce od młota, wiosną umajone,

Serce do serca swe hasło dziś śle,
Że będzie lepiej, choć dzisiaj jest złe.

Ręka pod rękę — robotnik i chłop,
Wiara w lepsze Jutro, kielnia i snop.

Czerwienią i bielą, czerwienią, czerwienią,
W słońcu płonącym ogniami się wciąż mieniają.

— Niech żyje Ojczyzny płomienny kwiat,
Okrzyk potężny grzmotem w niebo padł.

W słońcu płonącym wulkany skrzą się i mieniają,
Płomiennie cienie rzucają czerwienią.

P I O S N K A O K O R D U Ł I .

Dzień był zwykły, choć jasny od słońca był świat
Przy okienku krzyk i przy okienku zamęt
Podrzuciła swe dziecko Kordula Lament,
A na niemowlę rzuciła czerwony kwiat.

Sypiała na skwerku, sypiała w ogrodzie,
Karmiła je mlekiem, siebie suchym chlebem,
Chciała je mieć przy sobie, klęła się niebem;
Nie mogła je trzymać o głodzie i chłodzie.

Biegiem zziązany, zdyszany, schwytał ją ktoś.
Oczy czerwone, bo oczy od łez pieką,
Otoczono ją ludzką, z serca opieką,
Opadła w powrotnej drodze z jej serca złość.

Przychodzi odtąd co miesiąc, przychodzi częściej:
Do opieki, do sióstr, co całe w bieli,
I zdaje jej się, że są jak w niebie anieli,
Gdy idą w swej bieli przemiliym pochrzęście.

Cienie, radości, krzyki, łzy i bolesne straty,
Uśmiechy, złości i ludzie weselni,
Gazety kolorowe, oglądane w czytelnii,
Różne oczy, serca i różne światy.

Za okienkiem, za przegrodzoną ścianą,
Bieda się żarzy, nędza się czerwieni,
Chyląc się do trumny, chyląc się do ziemi,
Znacząc po świetle znak potem przelany.

Z okienka patrzą na boleśnie płaczących bezradnie
Bez oklasków piją z głębi kielicha,
Widzą jak jedno więcej życie powoli zacicha,
Jak z ócz ludzi wyziera krzywda na dnie.

Aż wreszcie znowu krzyk i znowu zamęt:
Radosna przysła w szarugę do opieki z dzieckiem
Szurgotała radośnie swą jasną kiecką
I krzyczała: za mąż idę ja, Kordula Lament.

Zaczerwienił się przy okienku z radości atrament,
Że Kordula dumnie szumi wykrochmaloną kiecką,
Radośnie śpiewa dzisiaj opuszczonemu dziecku,
Że będzie się nazywać jak i ojciec: Antoni Zamęt.

Wiadomo: ślub, dziecko, mąż Jan, Kordula żona,
Jasny dzień, sprawa jasna, historia skończona.

FABRYCZNE MELODJE.

Tysiąc krosien szczęście przedzie,
Tysiąc krosien w swym rozpędzie
Przesypuje talję kart.

Słońce, księżyc, gałąź, gwiazdka,
I Ling śmieje się z obrazka
Że metr piękna też coś wart.

A przy krośnie tkacz Antoni
Bieg krosenka ręką goni,
By prządł się szybciej życia chleb.

Motor huczy i sunie pas
A na krosnach tkwi igieł las.
Gdy pogania Faun czy Feb.

Puść czółenko przez sitowie
Niech użyje co się zowie
Niech wyprzedzie dzieciom los.

Niech się utka chleba pajda,
Niech ma Borek i Stach Gajda
Z codziennego tkania coś.

Gra im krosno o tym chlebie,
Co się latem rodzi w glebie,
Łzami niebios polewany.

Gra też krosno i o szkole,
O kawałku swojej roli,
Domku, co jest malowany.

Nuci pieśni o kochaniu,
Jest i nędza w takim graniu,
Co się z nitek ciągle niesie.

Jast bezwzględna zwycięstw woła,
W pieśni płynie ludu doła,
Choć niteczka czegoś rwie się.

W E Z W A N I E.

Stawaj prędko w szeregu, nie pytaj o pułk.
Na djabła słowa.
Szereg zewrzyj, pierś naprzód, bacność, stój
Tak, tak! To o tobie mowa.

Nie dziw się, że właśnie do ciebie się zwracam
Twarzą w twoją twarz.
Wspólna dola, wspólna nasza praca,
Więc wspólny też będzie nasz marsz.

Zęby zaciśnij, niech boli pierś, nie pęknie.
Pójdziemy w boje.
Będzie ludowi jaśniej i piękniej.
Sny złote i w dzień się roją.

Czego czekasz samotny, stoisz na boku,
Gdy pali się świat?
Widzisz sztandary, więc przyspiesz kroku.
Tam twoja siostra i twój brat.

Ojczyzna jest jedna i lud jest jeden.
Razem idziemy
Wielkim, potężnym ludu pochodem
O chleb powszedni, o ziemię,

Która zapłonie ogniem płonących hut,
Ludzi nasyci
Pracą na codzień, dla wielkiego święta,
Gdy ziszczenia padną wici.

Cokolwiek mówią jest jedna tylko pieśń
Wielka, eolska:
Wysoko sztandary na maszt trzeba wznieść
I krzyżyć: nasza jest Polska.

TRAGARZ.

Ślizga się ulicą zziajany tragarz,
Na plecach dźwiga papierową górę.
Nie potrać go, bo to widzisz, uważasz,
W tych pudełkach jest sto tysięcy piórek.

Niby to nic, bo przecież piórka są tak lekkie,
Ot takie dla niewiast barwne rajery.
Uważaj, bo się przewróci, a potem przeklnie,
Gdy otoczy go góra piórek i papierów.

Czy zachłyśnie się mroźną i śnieżną wichurą,
Czy ulewa potu po czole ciurkiem płynie,
Dźwiga, jak pół świata, swą papierową górę,
Wśród ludzkiego roju, w diabelskim świecie młyńnie.

ŚWIATŁO NA BEZDROŻACH.

Są takie chwile w życiu człowieka,
Że zajrzy swem sercem w głąb sumienia
I czegoś szuka i na coś czeka.

Ale gdy nic się wokół nie zmienia,
Żali się słońcu, chmurom i Bogu,
A ludziom: ot tak jak od „niechcenia“.

Jednak idzie jak lunatyk drogą,
Którą ludzkość kroczy już od od wieków,
Bo ludzie wiele zmienić nie mogą.

Lzy ludzkie niewypłakane pieką,
Słońce świeci i grzeje swym żarem,
Gdy ogarnie dwa serca pożarem.

Dobrze wtedy pić choć z kruchej kruży,
W ślad biec w największym smętku pochrzęście
I choć za nadzieję szczęścia służyć.

A już zdybać przyczajone szczęście
To tak jak światło ujrzeć na bezdrożach,
Znaleźć już po przegranej, w zwycięstwie

Ukojenie, po burzy na morzu.

SIEJBA PROMIENI.

Skoro lasu rozlegnie się wokół krzyk i gwar,
Gwiazda promienna już zblednie i schowa się w jar,
Z siejbą wychodzę na moje błękitne pole.

Budzi się wszystko i wzajemnie piosnką wita:
O plony i szczęście wichrów i pszczoł się pyta,
Na plecach schylonych zgarbioną niosąc dołą.

Rzucam w czeluście gleby plon sercem zdobyty,
Sieję w zmrokach rodzące się już w ogniach świty,
Promienie.

Chcę siać radosne zorze przez życia szare dni,
Wierząc, że siejba nie jest jak tęskna miłość, sny:
Złudzeniem.

PARYSKIE ECHA.

Wieża Eifel stoi jak Guliwer nad ziemią,
Metro jak kret wije się w ziemi stajań sto pięć,
W pawilonie hiszpańskim wciąż przelewa się rtęć,
A liście lecą na Champs Elysées, jak jesienią.

Picasso lawiną rzuca się w pstrokaty tłum,
Tuchaczewskij zamienia się w płonący świecznik,
I będzie płonął wyrzutem już bodaj wiecznym,
Chociaż wyróżniał się jak Macchiavelli swą grą.

Jakaż przedziwna jest wody zabarwionej toń,
Gdy światło pada z węgierskiej wysmukłej wieży.
Powiew z wysp sekwańskich płynie ożywczy, świeży
I uderza w srebrze mgieł lśniący napis: „Pologne“.

ZAĆMIENIE KSIĘŻYCA.

Na przełomie, na wygonie, w słońca czas,
Wśród pól barwnych, chałup bielą strojnych zgaśł
Dzień, bo go bitny księżyc czernś zaczepił.

Ludzie, chybko swym okiem w słońce wleźli,
Okopconą, obrudzoną już nieźle
Szybką, ktoś się w chmurę jak Eol wlepił.

Cały świat, co w słońcu wulkanem płonie
Zamknąłem w swoje spracowane dłonie
Bo był mały, jak przy zegarku globus

Księżyc przystonił gorejące słońce
Sobą i wystął przez zwał chmur swe gońce
W świat, aby ozłocić życie, jak Logos

Z Ł U D N A M Y Ś L.

Na plecach niosę bryłę świata,
Na czole mam z gwiazd diadem,
Księżyc służy mi jako kij.

Myśl złudna cały świat oplata,
Deszcz leje się gorzkim jadem,
Krzaki róż — kłębowisko żmij.

Znam dobrze smak jej dziewiczych ust
I woń bzów jest mi też znana,
Gdy wiosna w maju zawita.

Poprzez chmury idę, jako przez chróst,
Biegnać wirchami co rana,
Gdy przez mgły już złotem świta.

Owinę się górskim ruczajem,
Z słońcem pod górą gdzieś legnę
Lub pójdę w zielonej łące.

Ruczaj wyschnie pod bożym gajem,
Gdy z nim jak jeleń pobiegnę,
Bo me serce jest gorące.

Niebem się nakryję jak płachtą,
A wśród kwiatów pójdę jak traktem,
Bom mocarz, chociaż tylko człowiek.

Chmury rzucę na starzyzny skład,
Z słońcem już jestem, jako pan brat,
Z wielką gwiazdą jestem po „słowie“.

Wytknie mi to słowem niejedną,
Że chcę zaślubić nocą Ledę,
Mówiąc wszystko dziwnie naopak.

A ja się wcale z tem nie kryję,
Że „na wiarę“ z tęsknotą żyję,
Że smutek nicją mnie omotał.

Księżyc przychodzi do mnie w gości,
Szepce wieści szczerze, najprościej,
Gdy wiatr wieje swą dziwną mową.

Krasne malwy pełnią dzisiaj straż
Przed furtką, gdzie biały domek nasz,
Z złoconą na przyzbie podkową.

Cieniem lasu nakryję się w skwar,
By nie zaszkodził mi z nieba żar,
Gdy słońce, jako wicher lata.

Czasem lat zmierzę życia drogę,
Gdy innej z miar znaleźć nie mogę,
I mierzyć nie chcę miarą świata.

Ale wszystkich prawo dosięga:
Nad mocą jest mocy potęga,
Moc przeżywa chwilę słabości.

Kiedys ziemię na siebie wdzieję.
Gdy pierwszy kur głośno zapieje
Pójdę szybko w wieczne już gości.

FOTOGRAFIA MATKI.

Wśród róż i książek stoi fotografia matki,
Mojej matki podobizna szczerą i dumna.
I chociaż wiem, że ją kryje ziemia i trumna
Zda mi się, że jak dawniej kocha mnie i kwiatki.

Nie chce mi się dzisiaj wierzyć, że leży w ziemi,
Wierzę, że słyszy dobrze głos z mych piersi drżący,
Że sercem swym kochanem, matczynem, gorącym,
Myśli swoje wymienia z myślami mojemu.

Gdy myślę samotnie, ku mnie słodko spoziera,
Z drugiego wybrzeża wróciwszy oczy mruży
I serce matczyne memu sercu otwiera.

A choć po chwili wiem, że to złuda wśród róży,
Tęsknota łzy moje serdeczne z ocz zbiera,
Że już tak dawno trwa w swej bez kresu podróży.

D Z I E C I N A U L I C Y .

Zapłakał ze złości śnieg, zaszlochał z żalu mróz,
Że dzieci na ulicy dzisiaj znowu mokną,
Zaskrzyphiał zezem patrzący na świat zgóry wóz,
Że uparte drzwi nie chcą je puścić za okno.

Popatrzył melancholijnie z płota stary kruk
I pazurem starym płot po grzbiecie poklepał,
Oko mruży i myśli: kto jest ten wściekły wróg,
Który każe pisklętom pod murami czekać.

Lecz przechodzień widzi, jak śniegu łzawi się tęczęwka,
Że zziębnięta dziatwa na ulicznym wygonie,
Więc podparł drzwi i ustąpiła rdzewna zasówka.
Na dzieci ciepło, jak od słońca zionie.

Otwórzcie już drzwi, niech dzieci w deszczu nie mokną,
Niechaj nie wstydy się za ludzi zezem skrzypiący wóz,
Niechaj nie płacze nad pisklętami śnieg i mróz,
Że uparte drzwi trzeba wywalać dla okna.

U Ś M I E C H.

Choć w mej duszy tak źle i tak smutno
To jest mi też razem w sercu radośnie,
Gdy pomyślę o szczęścia różowej wiosnie,
Co jest zwodną, jak dziewczę bałamutną.

I choć duszą chmurna włada tęsknota,
Uśmiech na ustach jak promień wytryska
Bo wiosna jest memu sercu tak bliska
Gdy duszę mą słońce złotem omota.

Mój smutek na uśmiech radosny mienię.
Choć ból w sercu żelazną pisze kartę.
Choć w strzępy bólem me serce podarte
Ja w ból biję, jak kamieniarz w kamienie.

Że słońce kielichem z jasných mgieł piję,
Uśmiech radosny ślę wichrem przed siebie,
By odbił się w drugich błękitnem niebem
Oczach. By widziano, że słońcem żyję.

SONATA OTRZECH SOSNACH.

ALLEGRO

Tańcowały z wiatrem śniegi
Obijały lasów brzegi.
Roześmiane świergotały,
Że mróz głupi, że mróz mały.

Od Warszawy do Londynu
Wicher z wichrem się znów minął
Śmiały szczerze się przymrozki,
Że król wichrów jest już boski.

Rozgniewały odwilż stara,
Że się śmiały ponad miarę.
Śnieg kałużą w piaski spłynął,
Wiatr za lasem jak duch zginął.

ADAGIO

Trzy sosenki na rozdrożu
Ślą samotną piosnkę bożą.
Na ruczaj, ponad gajem,
Piyną sosen barwne baje.

Tęsknoty, marzenia i bóle
Opowiadają nocą czule.
Złotym bursztynem rzewnie płaczą,
Łzami żywicy drogę znaczą.

Drepcą w miejscu dwa jasno-blond brogi.
Sosny przytuliły się do drogi,
Śpiewają smętku rozdrغانą pieśń.
Wichry ślą ją na roześmianą wieś

SCHERZO

Smętnie i wolno pieśń niesie
Chór ptaków, po białym lesie.
I chociaż w lesie pieśń ginie
Podobała się buczynie.

Podobała się piosenka drzewom
Więc rozchodziły taniec ku krzewom.
Kłaniają się dębczaki brzezinom.
W takt menueta jałowce płyną.

Powoli i wytwornie w takt
Pójdą w tańcu na lśniący trakt,
A z traktu przez dywany pól,
By wrocić w rozśpiewany bór.

FINALE

Nie ma sosny na rozstaju,
Zmówił ją ktoś na wyraju.
Zabrał sosnę hen za wody,
Do swej chaty, dla osłody.

Jedna z sosen ciągle płacze,
Że zabranej nie zobaczy,
Że samotna w śniegu stoi,
Łzami z niebios się wciąż poi.

Skończone trzech sosen dzieje.
Stary wicher się z nich śmieje.
Lecz współczuje im srebrny mróz,
Płacze skrzypiący w lesie wóz.

BALLADA O GRAJKACH BOŻYCH.

Wplecionych w koło życia było nas troje,
Z harmonją włoską, skrzypkami i fletem,
Wędrowni tego życia płomienni grajkowie:
Jaś, Krzyś, no i ja, zwany Anicetem.

Jaś, jak to Jaś, lubił bez i nokturny,
Krzyś dźwięczny smęt ulicznych tang i maki,
Ja, Anicet, szedłem na koturny:
Kochałem jaśminy i kujawiaki.

Gdy słońce skryło się za drzewa
Pletliśmy wiązanki z kwiatów i nut.
Chłopi mówili: „dziękujewa”,
Żydzi „si git”, a Niemcy „ach, sehr gut“.

A nam sądy ludzkie były już dawno niczem,
Bo graliśmy sobie, leśnym snów naszych bogom,
I Panu, który choć był świata budowniczym
Mówił słodko do ludu przed chatą ubogą.

Skoro pożarem wstawał świt drzemiący w chlebie,
Gdy słońce wstawało na błękitnym rozdzeniu,
Boga wielbiliśmy, który jest na niebie,
Dobroć przed którą nie mieliśmy lęku.

Przed zasłuchaną kapliczką gdzieś na rozdrożu
Lubiliśmy wszyscy troje na spiekłej przyzbie siadać,
I dalejże sprawować oną służbę Bożą:
Skrzypkami, harmonją i fletem bóle opowiadać.

A Chrystus zrobiony z naszego polskiego drzewa
Nuż się uśmiechać do trzech płomiennych łazęgów,
Aż się wilgi, jaskółki i pliszki zdumiewały,
Że to Chrystus do nas, do grajków, ot włóczęgów.

Gdy spotkaliśmy Maryi oczy łaskawe
Tej polskiej, tej naszej, na samotnej sośnie,
Tośmy stojący grali szubertowskie „Ave”,
A potem piękne polskie pieśni radosne.

I chociaż to były mazurki czy kujawiaki
Panna Święta z Dzieciątkiem uśmiechem nas darzy.
Czasami stanął zadumany tam taki i siaki
I rzecze cicho: ot grajkowie cosik marzą.

Nie wiele nam było też trzeba chleba:
Las rzucał nam pod stopy dary Boże.
Z wysokiego jasnego latem nieba
Szło za dnia światło: słońce, w krwi zorze.

A że graliśmy kilka razy na weselu
Sypnęły się też gradem, liczne ludzkie grosze.
Panna, której drużbowie śpiewali o chmielu,
Zapraszała do jadła: proszę, bardzo proszę.

Na starym koło wodnego młyńa moście
Śpiewaliśmy, jak braciszkanie rybkom,

Aż dziwowali się jacyś jegomości,
Co chcemy wygrać nad tą wodą szybką.

Tylko organista, który szedł z Ponikły
I grał przez całą swą drogę na oboju
Nie dziwił się, bo dla niego obraz zwykły,
Że przy muzyce rybki na baczność stoją.

Raz też nauczycielce z cichej wioski,
Którą wieziono w zieleni do ziemi,
Zagraliśmy wszystkie z chłopskich pól piosnki,
Aż się oburzył dziad cmentarny Lemiesz.

Z dziatwą chłopską na podleśnym wygonie
To już było nam dobrze, najlepiej z ludzi,
Bawiliśmy się jak i one: swobodnie,
Młodość jest utkana z tęcz, młodość się ludzi.

Lasami szło to nasze z serca granie,
Wtórowały nam świergotaniem ptaki,
Bo to granie było naszym kochaniem,
Jak czarem roztęsknione kujawiaki.

Przewędrowaliśmy wzdłuż i wszerek kraj cały
Od Tatr aż do brzegów polskiego morza.
My falom morskim, a fale światu grały,
Gdy rankiem budziła nas poranna zorza.

Lecz „sic transit gloria mundi“ — wszystko biegnie,
Jak czas i jak młodość i jak ludzkie życie,
W prochu największe serca marzenia legną,
Chyba, że się przyczają za węglem, skrycie.

I jak nas los grajków Bożych złączył,
Jak w duszy miłość i przyjaźń zasiał,
Tak nas też jednego dnia rozłączył
I po święcie bożym porozpraszał.

Jaś w Chinach rozbił życia wędrowne namioty,
Krzyś na Borneo czerpał życie łyżką z faski,
Ku Haiti kierując swoje nowe loty,
A ja na francuskich osiadłem lotnych piaskach.

Lecz włócząc się w różnych przewiewach świata
I skrzypce, i harmonja włoska, i flet,
We wszystkich dniach jesieni, wiosny, lata
Szukały w wyścigu marzeń polskich met.

Po nocach gwieździstych łkaliśmy w gorzkich snach
Rozłąkę czując jako musu obrozę.
Choć wolni jak ptacy, oczy mieliśmy w łzach
Spiewacy leśni i grajkowie my Boży.

Zrywaliśmy się z pościeli, biegli w odzwierza
Bo rozśniły nam się kwitnące polne grusze,
Które w wędrówkach naszych, łązęgach po miedzach
Wpadły do serca, a dziś stanęły przed dusze.

Bo dziwna była moc, która nas grajków splotła,
Jak wielka moc była w tym naszym tęsknot graniiu,
Jak dziwna siła fatalna co spójnię zmiotła
I bólem oplotła nasze bratnie kochanie.

Krzyś na Borneo, a Jaś na chińskiej ziemi
Zbili krzyżyk prosty, drzewny krzyżyk ubogi,

I przed nimi śpiewali samotne „idziemy“
Widząc w myślach najmiłsze, promienne drogi.

A ptaki przelotne zwabione tym graniem
Chwytały znajome z polskich pól echa,
Witały nas grajków przymilnym świergotaniem,
Bo na myśl przyszła im odległa strzecha.

One to wieść wzajemną przyniosły,
Że Jaś płacze, a Krzyś na przyzbie swej kłęka,
Gdy przybyły do kraju w czas wiosny.
Dzięki nim przybyła zamorska piosenka.

Wichry płynęły w górze błękitem
I niosły obłok, który łączy trzech grajków złączył.
Mleczną drogą płynąc nad żniwem żytem
Łzy wędrownie na ojczystą ziemię usączył.

Polski Chrystus, który był ongiś pielgrzymem świata
Przywiódł nas Ojczyźnie wygnańców jednego lata
Aby było jak w bajce, choć nie było to bajką.

I znów śpiewaliśmy pieśni serca rozetłakane
Wspominając swe chwile już przepłakane,
Które wyrwały się w rozmodlonem sercu grajków.

Śpiewaliśmy za ów dar złoty, przyjazd zdobyty,
Za słońce w południe, za barwne świty,
Za marzenia, które przyszły we śnie.

Aż z pagórków las się jakby księżyc uśmiechał,
Aż jary rzucały miłośnie swoje echa
Gdy graliśmy znów swoje serc pieśni.

Leciała szczerą śpiewką o porannej porze
Przez rosę osrebrzone i schylone zboże
Aż drżąca odciążała się o chłopskie progi.

Popłynęła w zamgloną błękitnie jeszcze dał
Ciągnąc i smutek, i radość, i tak dziwny żal
Naprzelał, nie bacząc wytkniętej drogi.

Znaleźliśmy schron: (tu na sen wieczny nas złożą),
Gdzie nie zachodzą nigdy szczęścia jasne zorze,
I gdzie przyszłość sama się już na kłosach przedzie

Zrobiliśmy ludzki lecz już wiekuisty ślub,
Że grajkami bożymi zostaniemy po grób,
Ale pieśń nasza i po nas jeszcze wciąż będzie.

Zobaczycie rozpieśnionych kiedyś bożych grajków,
Bo nie jest to przecież czarodziejską bajką,
Jak będę się modlić i swoją pieśnią i grą.

Dajcie im dobrotliwe swoje ludzkie słowo
Gdy będą grać światu, Bogu śpiewkę majową
Gdy na rozdroża, pola, lasy rzucą łzę.

TĘSKNE SŁOWA.

Jesteś:

w płonącym słońcu,
w gorejącej ziemi,
w rozśnieżonych mgłach,
w przezroczystych chmurach,
w pobielonym błękitcie,
w rozmodlonem szczęściu,
w rozplakanem nieszczęściu,
w grającym pieśni kłósnem życie,
w przekwitającej wiosnie,
w trujących łzach,
w wieczności, wydartej niebu,
w wiekiuistych snach,
w czasie i przestrzeni,
w chmurnej dali,
w jasnej bliskości,
i w nas samych
gdy serce naoścież otwarte,
gdy pieśń rozsłocha serca i dusze,
gdy skargi nasiąkłe łzą pójdą w dał,
gdy nabrzmiałe radością
oczy echo rzuca w słońce.

Jesteś

tęsknotą bólów
i jak serce szklanego dzwonu uderzasz.

Stęsknionych,
którzy wyrzekają się
w niezrozumiałym altruizmie szczęścia
sycisz na czekanie
w ciągłej poświęcie
gasnącego słońca
i w śnieżności miesięcznej wiara,
że dale się zbliżą,
czas bieg swój zmieni,
szafirowe tonie niezapominania
przyniosą na żaglach
choć strzępy ziszczonych marzeń.

Głodnym uczuć
ślesz dymy kadzidlane
do ich samotni
wśród ludzkiego roju,
aby odurzające olśnienia
dały choć chwilowe zapomnienie
skowytu serca nienasyconego.

Jesteś!
Czy kto chce czy nie chce.
Bardziej czuję Cię w swej duszy
niż w murowanym kolosie.

Bardziej lecę do Ciebie
myślą w samotności,
niż w ciżbie i tłumie.
Roztętnioną wyobraźnią krwi,
duszy głębią zda się nieprzebytą.

Wichru poświstem
rzucasz na wrzosa,
na patynowe mchy
i na ścierniska
modły dusz stęsknionych.

Wędrowców nocy wiekuistej
kierujesz ku ogniom niezwodnym,
do krainy,
wymarzonej przez ciche płomienie,
co w bieli śnią sen za życia.

Podróżnym,
zbląkanym w labiryncie życia
wskazujesz żarzące się ognie
na pustoci
poroślej dziewanną i rozchodnikiem.

Spragnionych koisz
czarowną harmonją podzwonnego,
płynącego na falach wichrów lipcowych,
które ścielą się po łąkach,
po ugorach,
po wodzie, pokrytej zielenią,
a rozkwiecionej nenufarami i bonowiem.

Zasypiającym
pod kopułą mlecznej drogi gwiazdnej
dajesz wchłaniać woń siana zżętego,
co tysiącem zapachów kwiatnych
płynie z rozmodlonej
ciszy wiejskiego zapomnienia.

Ateusze,
niewierni
i wierni,
różnojęzyczni,
różnoobrzędni
wierzą mimo różnych słów rzucanych w tłum.

Czym jesteś?
Wielkością,
Siłą,
Mocą,
Sprawiedliwością?
Przedewszystkim:
Miłością.

P Ł O M I E N N E D A L E.

Błogosławionaś chato,
wyższa ponad drzewa, pełna izb rozmaitych,
w których królowały: rozgwar, śmiech
i pieśni o dalach promiennych,
o dalach, których nie zmierzyć w czasie i przestrzeni,
bo młodość ich mierzyć nie chce.

Błogosławionaś w sercach marzeń
skrzydlata niepamięci na burze i wichry,
słone szły z ugorów przez chichoczące
półgę, potem kamienice
na małą i otyllę,
żeglującą w nadrzecznej ciźbie,
zdążającej ku celom niewiadomym.

Błogosławionaś
czarowna pieśni młodych,
śpiewana przez lata, a tkwiąca w sercu,
i nie przemijająca, choć pokrywa ją patyna czasu,
choć jak okręt odpływa i przyplywa
w jasne dni, w fioletowe zmierzchy
i krwią purpurową oblane promienne godziny,
które snują się na widnokregu myśli
dnia codziennego.

Błogosławione bądź
przesłodkie „kocham cię“
coś tyle razy było przesyłane wzajemnie półszepem,
w ciszy dnia żmudnego, z ust do ust
lub przez strzępy białośnieżnych papierków,
oddawane sercom i duszom,
zakochanym w szczęsnej młodości,

płynącej ku dali czasu,
wiecznie spragnionego godzin,
co przemijają w trudzie, marzeniach i snach.

Błogosławione bądź wspomnienie,
co lecisz na falach wiatrów i wichrów,
na złożonych promieniach słońca,
na rozbłyskach księżyca,
ku dniom, które bezpowrotnie minęły,
a były:
miłowaniem,
uwielbieniem,
radością,
marzeniem,
pucharem szczęścia bez goryczy,
w ożywym płomiennym napoju.

Błogosławione bądźcie kruże żywota,
któreście młodość oprzemieniły poezją,
a na szarżyznę późniejszych dni
zarzuciły zasłonę malowaną,
grającą radosne melodie,
wśród szeptu domów i domków,
pijanych szczęściem młodych serc,
przeglądających się w oknach przydrożnych.

Błogosławione bądźcie dni
i godziny tych,
którzy szli ku źródłu wiedzy
i tych, którzy kryształowymi dzbanami
napój płomienny do ust spragnionych
wlewali,
pryzmatem ubarwiając godziny,

spędzane w gwarnych izbach przedmieścia
dymnego miasta,
upstrzonego pióropuszcami wstęg,
otulających wkrąg domy i drzewa.

Błogosławione bądźcie serca
miłujące i umiłowane.

Błogosławione bądźcie dusze zadumane,
ku którym wspomnienie leci miliony razy.

Błogosławieni bądźcie
porozpraszani przyjaciele młodości,
których sercom serce śle
pozdrowienie szczere, a nieklamane,
a ongiś przekazało tęsknoty za pięknem
i woal marzeń na
korowód dni zarzuciło.

Błogosławione niech będą myśli,
które lecą ku wam
i widzą was takimi, jak ongiś,
na przedmieściu,
gdzie napojem z kryształowego dzbanu
syciłem wasze dusze młodociane
na życie, pozbawione często rozblasków,
spromienionych wschodów i zachodów,
a i zapomnień, kojących niepokoje.

Błogosławione bądźcie serca mego serca,
gdy szukam was
w czasie i przestrzeni bytowania.

Błogosławieni bądźcie
pозdrowieniem,
które śle wam szumami liści,
głuchymi odgłosami
skrzypiących, ogołconych gałęzi
i poszumami wichrów,
grających sonaty
i nocturny dni niecodziennych.

Błogosławieni bądźcie
gdy rzucacie w swej bieli nieskalanej
dusz i serc,
w chwilę po misterium przebaczącym,
słowa życzeń, wiecznego ukojenia,
wiecznego odpoczywania,
z wiarą, że się tak stanie,
za tych, którzy odeszli,
aby śnić sny wiekuiste.

Błogosławieni niech będą,
którzy młodość w latach szronu zrozumieli
i przebaczać potrafią.

Niech wszystkich,
których drogi szły przez rozgwarne izby
kwietnych sadów wiedzy,
na dalsze życie,
prowadzą
snów i marzeń anieli.

Błogosławiona bądź młodości,
która wchodzi w wierzeje życia

rozumie starość,
co przez czas rękę ci podaje.

Młodości górna i chmurna,
bądź błogosławiona
w snach
i przedziwie życia,
które biegnie w dal
i nic go wstrzymać w biegu nie potrafi.

SPIS RZECZY:

	Strona
Zazdrosne łubiny	5
Korale ust	6
Wiekuiście łowy	7
Malowane cienie	8
Chryzantemy	9
Grom	10
Schadzka	11
Cierniowe listy	12
O zmierzchu	13
Przerwana pieśń	14
Rozełkany klomb	15
Przez echo	17
Szkarłatniejący smutek	19
Nokturn	21
Serenada o chorem sercu	23
Miłosna wichura	26
Błękitna powszedniość	27
Skośne serce	29
Półów mew	31
Lawina gwiazd	32
Pochód płomieni	33
Piosnka o Korduli	35
Fabryczne melodje	37
Wezwanie	39
Tragarz	41
Światło na bezdrożach	42
Siejba promieni	43
Paryskie echa	44
Zaćmienie księżyca	45
Złudna myśl	46
Fotografia matki	49
Dzieci na ulicy	50
Uśmiech	51
Sonata o trzech sosnach	52
Ballada o grajkach Bożych	55
Tęskne słowa	61
Płomienne dale	65

INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
Biblioteka
ul. Nowy Świat Nr 72
00-250 Warszawa
Tel 26-68-63, 26-52-31 w. 42



F.

2675

Wm. W. Norton & Co.